

SYNDROM ZBAWCY NA BIAŁYM KONIU

Polacy cierpią na „syndrom zbawcy na białym koniu”. Cała nasza historia najnowsza jest czekaniem na mądrego i dobrego polityka, który wjedzie do Polski i zrobi tu porządek. Wolimy czekać na zbawcę niż samodzielnie zakasać rękawy i urządzić sobie państwo.

■ LECH, TADEUSZ I CZŁOWIEK ZNIKĄD

Zapomniani, wstydlivy epizod sprzed blisko 28 laty – wybory prezydenckie w pierwszym roku po upadku Peerelu. Wszyscy są przekonani, że wyścig do Belwederu rozstrzygnie się między dwoma tuzami polskiej polityki.

Jednym jest Lech Wałęsa, cieszący się wówczas niekwestionowaną sławą pogromcy komunizmu. Drugim – Tadeusz Mazowiecki, od sierpnia 1989 roku premier pierwszego niekomunistycznego rządu, człowiek bliski Kościołowi, od lat zaangażowany w działalność antykomunistyczną, jeden z najważniejszych doradców „Solidarności”. Ale Polacy odrzucają Mazowieckiego, a rozstrzygającą walkę Wałęsa musi stoczyć ze Stanem Tymińskim.

Kontrkandydat najbardziej znanego Polaka na świecie, laureata Pokojowej Nagrody Nobla, to człowiek znikąd. W jego pokrętnym życiorysie jest pobyt w Peru i informatyczna firma w Kanadzie. Ale jest człowiekiem z mitycznego Zachodu, uosobieniem wielkiego sukcesu w kapitalistycznym świecie. Wówczas, bo dzisiaj ten sukces wygląda już lichutko. Spędziłem wówczas, jako młody reporter tygodnika „Wprost”, kilka dni w towarzystwie Tymińskiego, obserwując jego kampanię wyborczą. Jeździłem z nim samochodem, jadłem posiłki, słuchałem jego opowieści o „prawdziwym kapitalizmie”, recept dla Polski, a wreszcie przeczytałem jego książkę *Święte psy*. Bełkot. Nieustanny i nużący. Ten człowiek nie miał Polakom nic do zaproponowania. A jednak w drugiej turze wyborów prezydenckich oddało na niego głos ponad 3,6 miliona Polaków, blisko 26 procent biorących udział w głosowaniu!

Dla Polaków, zmęczonych dziesięcioleciem permanentnego kryzysu epoki Wojciecha Jaruzelskiego i mozolnym przedstawianiem zwrotnicy dziejów w latach 1989–1990, Stan Tymiński stał się w 1990 roku ucieleśnieniem Zachodu. Obietnicą, że ten mityczny Zachód można błyskawicznie dogonić, bez konieczności przechodzenia ciernistej drogi od purnonsensowego systemu socjalistyczno-wojskowej dyktatury do mlekiem i miodem płynącego kapitalizmu. Ten nowy wódz miał nas do tego doprowadzić, ostrożnie stąpając na białym koniu po grząskim gruncie wydobywającego się z niebytu państwa. Niemal jedna trzecia świadomych Polaków w to wierzyła i była gotowa powierzyć stery rządów 38-milionowego narodu człowiekowi, o którym niemal nic nie wiedziała!

■ OD CESARZA NAPOLEONA DO GENERAŁA ANDERSA

Nie był to jednak przypadek odosobniony. Przykładów podobnej desperacji, podobnego zawierzenia polskich losów wbrew zdrowemu rozsądkowi jest w polskiej historii dużo więcej. Za dużo.

Zbyt często wybieraliśmy sobie wodzów na białym rumaku nie według zimnej kalkulacji, ale z porywu serca. Na początku XIX wieku tym marzeniom odpowiadał Napoleon Bonaparte. Był pogromcą cesarzy rosyjskiego i austriackiego oraz króla Prus, a na dodatek wydawał się kontynuatorem rewolucji francuskiej, ta zaś była ucieleśnieniem polskich marzeń o braterstwie i równości. Nie do końca było to zgodne z prawdą i intencjami Napoleona I, ale my nie lubimy oglądać rzeczywistości „mędrca szkiełkiem i okiem”. Napoleon miał nam dać wolność i niezależność z czystej sympatii i z powodu polskiej miłości do Francji, bo zapomnieliśmy – lub nie wiedzieliśmy – że jest on zimnym, wyrachowanym graczem politycznym, który konsekwentnie i z determinacją realizuje interes Cesarstwa. I swój. Poniewczasie okazało się, że „mały kapral” bardziej jest zainteresowany



Do wynajęcia

wdziękami Marii Walewskiej (też zresztą krótko) niż Polską. Na dodatek, choć Polacy uważali go za niezwyciężonego, i on w końcu musiał uznać wyższość antyfrancuskiej koalicji. Jeszcze raz okazało się, że niezwyciężonych wodzów na świecie jak na lekarstwo.

Ten brak politycznego rozeznania, to myślenie sercem, a nie rozumem, ten brak zimnej kalkulacji, nadzieje, że tym razem to już na pewno, będzie nam towarzyszyło niemal nieustannie. Tak będzie w sierpniu 1944 roku, gdy władze Polski Podziemnej podejmą decyzję o wybuchu Powstania Warszawskiego; gdy Stanisław Mikołajczyk będzie negocjował ze Stalinem kształt i ustrój przyszłej Polski, wierząc w bezwarunkowe poparcie Zachodu dla budowy demokratycznego kraju u granic totalitarnej satrapii. A gdy te negocjacje zakończą się totalną klęską, gdy Kreml obsadzi Warszawę całkowicie sobie powolnymi komunistycznymi funkcjonariuszami, Polacy będą marzyć i modlić się do generała Władysława Andersa. Będą wierzyć, że Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, opromieniony zwycięstwem pod Monte Cassino, zdoła przekonać Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią – liżące rany po największej w dziejach ludzkości wojnie i zażywających największego w swojej historii boomu ekonomicznego – do rozpoczęcia kolejnego, grożącego niewyobrażalnymi zniszczeniami (od 1949 roku Związek Sowiecki dysponuje bronią atomową, od 1952 bombą termojądrową) konfliktu. W imię czego?

Odpowiedź na to pytanie wymagałaby racjonalności, a na to stać było tylko nielicznych. *Dziś chodzą po mieście słuchy, jakoby Stalin był umierający na anginę pectoris i na uremię.*

Także pogłoski o gromadzeniu jakoby wielkiej ilości sprzętu przez Anglosasów na linii demarkacyjnej w okupacji niemieckiej, i to sprzętu pomalowanego na biało [chodziło o maskowanie na ogarniętych zimą terenach ZSRR] – zanotowała w swoim Dzienniku 30 listopada 1945 roku Maria Dąbrowska. – Nie przypisuję tym pogłoskom większego znaczenia niż tysiącom innych, co kursowały w ciągu ostatnich sześciu lat, nigdy się nie sprawdzając. Gdyby Stalin istotnie umarł, a na jego miejsce przyszedł Mołotow, mogłoby to mieć dla Polski dzisiejszej najopłakaniejsze skutki. Jeśli Stalin jako Gruzin mógł mieć jakieś resztki uznania autonomii narodów, to Mołotow jest tylko nacjonalistą i imperialistą rosyjskim. W tym czasie większość Polaków uważała, że śmierć Generalissimusa położy kres istnieniu sowieckiego imperium, a już na pewno nie chciała wierzyć, że wojna z Moskwą w obronie Polski nikogo nie interesuje. Dąbrowska zresztą też wykazała się w odniesieniu do Stalina nie małą naiwnością, choć wielkoruskie poglądy Mołotowa rozpoznała idealnie.

■ PAPIEŻ I TRZĘSĄCE SIĘ NOGI JARUZELSKIEGO

Kilka dziesięcioleci później wodza na białym koniu widziano w Karolu Wojtyłę. To on miał nam – jak pisano na transparentach podczas pielgrzymek papieża do Polski – dać wolną ojczyznę. Wolną, sprawiedliwą i piękną. Z jakąż satysfakcją patrzyliśmy na spotkanie Jana Pawła II z generałem Wojciechem Jaruzelskim na Wawelu w 1983 roku, gdy na ekranach telewizorów wyraźnie było widać, jak dyktatorowi w ciemnych okularach trzęsą się nogi, i słysząc, jak łamie mu się głos. Już wcześniej wiele wskazywało, że ten odziany w białe

szaty wódz wreszcie okaże się wodzem skutecznym – kilka miesięcy po pierwszej wizycie w Polsce niedawnego krakowskiego arcybiskupa wybuchł Sierpień. A wraz z nim legenda Wałęsy. Nowy wódz dobrze pasował do zgrzebnej, robotniczej Polski, zamiast na białym koniu ruszył gromić komunizm wózkim akumulatorem. A co ważniejsze, nie otaczała go już tylko garstka podobnych mu straceńców, bo legitymację „Solidarności” nosiło 10 milionów Polaków.

To w naszych dziejach, wbrew legendzie, którą lubimy się karmić – a w ostatnich dwóch latach karmią nas tą legendą już bez żadnej miary – ewenement. Z reguły wódz na białym koniu miał załatwić wszystko sam, jedynie z nieliczną garstką współpracujących z nim straceńców. *Krzyczeli, żeśmy stumanieni / Nie wierząc nam, że chcieć – to móc! / Laliśmy krew osamotnieni* – śpiewali legionisi Piłsudskiego. Gorzko, ale prawdziwie. Tę samotność legionistów potwierdzają liczby. W szczytowym momencie Józef Piłsudski zdołał pod swoją komendą zgromadzić niespełna 20 tysięcy osób. Znikoma grupa, właściwie garstka ludzi. Dla porównania – podczas I wojny światowej pod broń powołano ponad 70 milionów żołnierzy. W armii francuskiej służył co piąty obywatel Francji, w austro-węgierskiej 15 procent, w niemieckiej ponad 13 procent, a w rosyjskiej blisko 10 procent populacji. Oczywiście, oni mieli swoje państwa z całym ich aparatem, ale Polacy, wbrew stworzonej po 1918 roku legendzie, wcale się do walki o niepodległość nie garnęli. Dwadzieścia tysięcy Polaków walczących o niepodległość?! Toż to wielkość kompromitująca. To tak marzyliśmy o niepodległości? Ledwie dwadzieścia tysięcy osób było gotowych bić się za tę wysnioną, Najjaśniejszą Rzeczpospolitą? To tak zachowują się potomkowie zwycięzców spod Grunwaldu, Kircholmu i Wiednia?

Nie bez przyczyny jedna ze zwrotek pieśni *My Pierwsza Brygada* brzmi: *Nie chcemy dziś od was uznania / Ni waszych mów, ni waszych łez / Skończyły się dni kołatania / Do waszych serc, do waszych kies* (w wersji pierwotnej kończyła się brutalnie: *...jebał was pies*). Bo pieniędzmi, niezbędnymi do prowadzenia walki o niepodległość, Polacy też wówczas dzielili się niechętnie. Nigdy zresztą nie robiliśmy tego zbyt chętnie. Gdy w 1933 roku władze ogłosiły zbiórkę pieniędzy na Fundusz Obrony Morskiej, z którego miano sfinansować budowę okrętów wojennych, przez jedenaście miesięcy zebrano 2 mln 644 tys. zł. Drugą Rzeczpospolitą zamieszkiwało wówczas blisko 35 milionów obywateli, co

oznacza, że statystyczny obywatel kraju dał na ten szczytny cel 0,07 złotych. Dla porównania – w 2017 roku na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy statystyczny Polak dał 3 zł, blisko 43 razy więcej!

■ POCZEKAMY, AŻ NAS WYZWOLICIE

Nigdy zresztą zaangażowanie Polaków w odzyskanie niepodległości – wbrew temu co o sobie myślimy – nie było oszałamiające. Legiony Henryka Dąbrowskiego liczyły w 1795 roku ledwie 15 tysięcy żołnierzy, choć Polaków było wówczas ponad 4 miliony. Można to tłumaczyć odległością, Dąbrowski sformował swoją armię we Włoszech. Bardziej adekwatnym przykładem może być natomiast Powstanie Styczniowe, w którym walczyło ledwie 30 tysięcy bojowników, podczas gdy armia rosyjska dysponowała ponad sześciokrotnie większymi siłami. Peerelowski społeczeństwo komunizmu nie kochało, ale kontestowało go z dużą ostrożnością, skoro w działalność wymierzoną we władzę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zaangażowany był niewielki odsetek obywateli. Gierkowski minister spraw wewnętrznych, generał Stanisław Kowalczyk, mówił w 1980 roku, że Służba Bezpieczeństwa jest w stanie nakryć całą opozycję czapkami. Przechwałki komunistycznego aparatu wcale nie były tak bardzo dalekie od prawdy, jak się dzisiaj wydaje. W 1981 roku, po wprowadzeniu stanu wojennego, licząca blisko 10 milionów osób „Solidarność” – zgodnie z rachubami Wojciecha Jaruzelskiego – błyskawicznie się rozprzerchła, a walkę o obalenie komuny kontynuowało ledwie kilka tysięcy osób. Reszta wolała ten czas przespać pod mamusiną kołdrą, ograniczając się do demonstrowania swojej opozycyjności na imieninach u szwagra. Nawet w 1989 roku, gdy Peerel był już tylko przegniłą wydmuszką, ponad 37 procent wyborców nie poszło do urn. Głosowanie nie było aktem wielkiej odwagi, ale ponad jedna trzecia Polaków wolała poczekać, aż jakiś kolejny wódz na białym koniu zdecyduje za nich i za nich urządzi tę Polskę ich marzeń. Niewiele wówczas chciało już, aby ludowa Polska, jak to określiła Maria Dąbrowska, ten *fantom, który gdy Rosja gwizdnie, to sam się posłusznie zlikwiduje*, nadal trwał, ale niewiele więcej było takich, którzy mieli odwagę, wówczas już nie nazbyt wielką, przyłożyć do tego rękę.

Myślenie Polaków o własnej historii jest myśleniem magicznym. Pięknym, przepelnionym legendami, ale nieprawdziwym.

Baśniowym. Nie w tym jednak tkwi największy z naszych grzechów. Ten tkwi w bierności. W przekonaniu, że wszystko za nas załatwią inni. A jeszcze później tych bohaterów, wodzów na białym koniu, gdy już wypełnią swoje zadanie, my poddamy bezkompromisowemu osądowi, oskarżając o agenturalność, dyktatorskie zapędy, niezliczone błędy. To nie jest tylko przypadek Lecha Wałęsy. To również przypadek Józefa Piłsudskiego. Utracona miłość narodu smakuje w Polsce wyjątkowo gorzko.

■ SEKRETARZ I, ALE WŁADYSŁAW V

Jednak mimo miłości do wodzów na białym koniu, mimo całego romantyzmu targającego polskim sercem, potrafimy czasem wznieść się na wyżyny racjonalności. Kwintesencją takiego zachowania był rok 1956. Przez jedenaście lat po wojnie nadzieja na przyjazd Andersa – a więc na wojnę Zachodu ze Związkiem Sowieckim – wreszcie się wypaliła. Co więcej, wypaliła się także wiara w to, że Polska szybko może się wyzwolić spod sowieckiej dominacji. W 1956 Polacy zrozumieli, że to zwyczajnie nierealne. Marzenia o suwerenności zastąpiło myślenie o Polsce urządzonej na nowo, bez sowieckiego *imprimatur* na każdej decyzji. Polacy zaakceptowali – bo nie oni przecież podjęli decyzję – myśl o zawierzeniu swoich losów już nie wodzowi na białym koniu, ale raczej na szarym osle, który podążał do celu dość konsekwentnie, lecz powoli. Oddali w Październiku '56 swój los Władysławowi Gomułce, jednemu z niedawnych przywódców niedawnej Polskiej Partii Robotniczej, odpowiedzialnemu za instalowanie nad Wisłą sowieckiego socjalizmu. Doskonale to pamiętali, ale zminimalizowali swoje oczekiwania.

Wystarczyło im, że przez jakiś czas „Wiesław” przesiedział w stalinowskim więzieniu, że okupację spędził w Polsce, a nie w Moskwie, że pozytywnie ocenił robotniczy protest w Poznaniu. Nadzieje związane z Gomułką były mocno przesadzone, też okraszone romantyzmem, ale okazały się, jak na ówczesne warunki geopolityczne, racjonalne. *Naród nie miał wielkich złudzeń. NKWD i jego filie odwróciły tylko swoją skórzaną kurtkę baranią wełną na wierzch* – zanotowała Maria Dąbrowska we wrześniu 1956 roku. Mimo to Gomułce uwierzono, a nawet, na krótko, pokochano go. Na słynnym wiecu na Placu Defilad w Warszawie, 24 października 1956 roku zgromadziło się 300–400 tysięcy osób, więcej niż kiedykolwiek słuchało na żywo jakiegoś

kolwiek polskiego polityka, marszałka Józefa Piłsudskiego nie wyłączając.

Gdy nowy szef partii szykował się do wyjazdu do Moskwy, na Rakowieckiej, pod siedzibą MSW i UB zbierały się tłumy żądające skutecznej ochrony I sekretarza KC PZPR, a gdy wracał, ludzie zatrzymywali pociąg, którym podróżował. Gazetowe sprawozdania z powrotu Gomułki z Moskwy pełne są opisów wiwatujących tłumów i społecznego entuzjazmu nie widzianego nad Wisłą przynajmniej od zakończenia II wojny światowej. W Terespolu, na granicy polsko-sowieckiej, I sekretarza witało kilkaset osób. Były kwiaty, łyż, było „Sto lat” i przemówienie bohatera uroczystości. Później Gomułka musiał jeszcze przemawiać w Białej Podlaskiej, gdzie powitano go wielkim bochnem chleba i solą, oraz w Międzyrzeczu koło Supraśla, gdzie mieszkańcy wymuszają zatrzymanie pociągu. *Osiągnęliśmy wszystkie nasze słuszne postulaty* – zapewnił Gomułka. Wreszcie pociąg specjalny dotarł do Warszawy. *W ciągu czterech dni naszego pobytu w Moskwie, spotkań i rozmów z towarzyszami radzieckimi, uregulowane zostały wszystkie sprawy, które nagromadziły się w ciągu lat* – mówi szef partii do kilkuset zgromadzonych na dworcu osób. Rozlegają się oklaski i znów tradycyjne „Sto lat”. To był autentyczny entuzjazm. Nawet księża nazywali nowego I sekretarza KC PZPR „Władysławem V”.

■ SZCZYPTA RACJONALNEGO MYŚLENIA

Gomułka pokładanych w nim nadziei nie spełnił. Nawet jeśli niektórzy widzieli w nim wodza, który na białym koniu wyprowadzi Polskę z sowieckiego obozu, to tylko nieliczni i na krótko. Ale jednego nie sposób mu odmówić – powstrzymał sowiecką interwencję. Nikita Chruszczow miał zamiar wysłać wówczas na Polskę dywizję Armii Czerwonej, podobnie, jak uczynił to na Węgrzech. Miał, patrząc z Kremla, powody, by dokonać nad Wisłą krwawej łaźni. Gomułka potrafił te zakusy następcy Stalina spacyfikować, m.in. wykorzystując narastający konflikt Chruszczowa z Mao Zedongiem. Choć główne zasługi na tym polu należą się poprzednikowi „Wiesława”, twardemu stalinistom Edwardowi Ochabowi. Ważniejsze jest jednak co innego – mimo całego rozedrgania, wielkich emocji oraz nadziei – Polacy potrafili zapanować nad emocjami. Gdyby było inaczej, zamiast wodza na białym koniu Bug przekroczyłby wódz na koniu czerwonym.

Dowodu dostarcza historia Węgier w 1956 roku. Biograf Mao Zedonga twierdzi, że początkowo przywódca Komunistycznej Partii Chin ostrzegał Kreml, aby nie interweniował nad Dunajem. Zmienił zdanie, gdy do Pekinu doszły słuchy o linczach na funkcjonariuszach budapeszteńskiej bezpieki AVH. To oznaczało przekroczenie czerwonej linii. W Polsce antysowieckich demonstracji było niewiele. Największą, która mogła dać pretekst do czerwonej inwazji, był pochód sformowany po wiecu na Placu Defilad. Tłum ludzi, mniej dziesięć tysięcy niż można się było spodziewać, ruszył pod Ambasadę Związku Sowieckiego, ale powstrzymali go robotnicy z Żerania.

Roztropnością cechowali się też strajkujący w sierpniu 1980 roku. W kolejnych miesiącach było już gorzej. Wyjątkiem był marzec 1981 roku i wydarzenia w Bydgoszczy, które, jak się wydaje, były prowokacją mającą doprowadzić do sowieckiej inwazji. Jej rozprezgowaniu już machinę zatrzymał Lech Wałęsa, podpisując – wbrew większości władz „Solidarności” – porozumienie z wicepremierem Mieczysławem F. Rakowskim. Przy okazji mocno nadszarpnął swój wizerunek, bo Polacy kochają raczej przywódców z gorącą głową, do nieprzytomności odważnych nie zaś zimno kalkulujących, co przynajmniej u niektórych oznacza „wchodzących w układy z przeciwnikiem”.

■ KIEDY SILNY PRZYWÓDCA JEST POTRZEBNY...

Polacy kochają wodzów, silnych przywódców, którzy wskazują im drogę do wyznaczonego celu. To na nich ogniskujemy naszą uwagę, naszą wiarę w lepszą przyszłość, w nich pokładamy nadzieję. A później, nieodmiennie, doznajemy rozczarowań. Czy więc silni przywódcy naprawdę są we współczesnej demokracji potrzebni? Bez wątpienia są potrzebni w chwilach tragicznych, podczas wojen. Bez przywódcy cały społeczny wysiłek pozostaje rozproszony i przez to nieskuteczny. Przywódca nadaje kierunek, inspirowanie i wyznacza cele. Przywódca potrafi zawładnąć wyobraźnią dużych grup i „powieść na barykadzie”. Czy w 1940 roku brytyjskie samoloty obroniłyby Londyn przed nawałnicą Luftwaffe, gdyby nie Winston Churchill? Czy to nie za sprawą Charles’a de Gaulle’a Francja w 1945 roku dołączyła do wąskiego grona zwyciężczych mocarstw? Czy to nie determinacji oraz sprytowi Józefa Stalina – i jego bezwzględności – sowiecka Rosja zawdzięczała zwycięstwo pod Stalingradem, na Łuku Kurskim i zdobycie Berlina, a później podporządkowanie sobie

połowy Europy i awans do globalnej superligi? Ale czy owi silni przywódcy są potrzebni na co dzień, w normalnym demokratycznym kraju?

Silny przywódca zawsze ogranicza demokrację, zawsze bowiem uważa, że cel, który wyznaczył, jest najlepiej wybrany, więcej – jedyny możliwy. Czy po roku 1920, po odparciu bolszewickiej inwazji, Polska byłaby słabszym krajem, gdyby nie było marszałka Piłsudskiego? Czy po 1945 roku Francja nie stałaby się jednym z najważniejszych krajów Europy, gdyby w Pałacu Elizejskim nie zasiadał Charles de Gaulle? Czy dzisiejsza Polska nie byłaby lepszym państwem, nawet gdyby władzę nadał sprawowało Prawo i Sprawiedliwość, ale będące partią demokratyczną, pozbawioną bezwzględności przywództwa Jarosława Kaczyńskiego? Od upadku de Gaulle’a Francja miała raczej słabych przywódców i rozwija się znakomicie. Tak samo było w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii po Franco, we Włoszech, w Szwajcarii, Szwecji, Danii, Norwegii i Finlandii. Lista jest długa. Dotyczy nawet krajów Europy Środkowej – choćby Czech i Słowacji – gdzie przywiązanie do autorytarnej formy rządów jest jednak większe niż w Europie Zachodniej.

■ ... A KIEDY WRĘCZ PRZECIWNIE?

Odwróćmy pytanie – czy na pewno Rosja byłaby dzisiaj gorszym krajem, gdyby dyktatorskiej władzy na Kremlu nie sprawował Władimir Putin? Czy Stany Zjednoczone byłyby gorszym państwem, gdy w Białym Domu zasiadał Bill Clinton lub Barack Obama, czy gorszym jest dzisiaj, gdy jego lokatorem jest Donald Trump ze swoją ambicją – na szczęście skutecznie hamowaną przez panujący w USA system polityczny – do decydowania o wszystkim i wszystkich? To pytanie dotyczy także skuteczności rządzenia: przez cały pierwszy rok swojej prezydentury Trumpowi udało się przepchnąć jedną jedyną reformę – systemu podatkowego. Co więcej, choć na przykład Obamę oskarżano o słabość i niezdecydowanie, to amerykańskie przywództwo na świecie było za jego dwukrotnej prezydentury silniejsze niż dzisiaj, gdy stery rządów sprawuje człowiek kreujący się na silnego przywódcę.

Silni przywódcy, owi wodzowie na białych koniach, zawsze modelują rzeczywistość na własną modłę. I zawsze, w ostateczności, nadgryzają demokrację, idąc na skróty. Im dłużej rządzą, tym bardziej. Przykładami są de Gaulle, Margaret Thatcher, Helmut Kohl, który pogryzł Niemcy w wielkiej, do dziś nie całkiem wyja-

Co gorsza – i to jest największy grzech wodzów na białych koniach – zdejmują z obywateli odpowiedzialność za państwo. A ci, z powodu konformizmu, chętnie na to, niestety, się godzą, uważając, że ich los spoczywa w dobrych rękach. Z czasem okazuje się, że to nieprawda. Białe konie i ich jeźdźcy, nawet najwybitniejsi, tracą animusz. Gdy są już niezdolni do dalszego sprawowania rządów, okazuje się, że pozostawili po sobie „spaloną ziemię” – a nawet jeśli wyznaczyli następców, to ci nie są w stanie podźwignąć ciężaru schedy. Przykład zmarłego w 1935 roku Józefa Piłsudskiego jest tutaj aż nadto wymowny.

Dzisiaj na swojego wodza na białym koniu czeka polska opozycja i ta część społeczeństwa, która nie godzi się na siłowy sposób sprawowania władzy przez Prawo i Sprawiedliwość. Do tej roli coraz bardziej i wyraźniej szykowany jest Donald Tusk. To on, opromieniony kilkuletnią aktywnością na głównej europejskiej arenie politycznej, zaprzyjaźniony z wieloma zachodnimi przywódcami, ma przyjechać na białym koniu i odsunąć od władzy Jarosława Kaczyńskiego i jego „drużynę dobrej zmiany”. Ma być nowym Andersem.

najbardziej wymownym dowodem instytucjonalnej słabości opozycji.

Być może Donald Tusk zdecyduje się ponownie stanąć na ringu krajowej polityki i zmierzyć się w wyborach prezydenckich z Andrzejem Dudą. Nie jest to wykluczone, choć byłoby mało racjonalne. Nie to jest też dzisiaj najważniejsze. Najważniejsza jest reakcja społeczeństwa na łamanie konstytucji, ograniczenie niezależności sądów, na wypchnięcie Polski z głównego nurtu europejskiej polityki. A ta reakcja nie jest, jak dotychczas, budująca. Demonstracje przeciwko podporządkowaniu sądów politykom, przez chwilę masowe, szybko wygasły. Opór przeciwko łamaniu konstytucji słabnie i przy bierności społeczeństwa, koniunkturalizmie i słabości opozycji niewiele czynników – jeśli rzeczywiście wraz z rekonstrukcją rządu PiS wkroczył na drogę łagodniejszej polityki – będzie w stanie znów go rozniecić.

Zresztą same demonstracje nie zmienią wszystkiego. Potrzebna jest instytucjonalizacja przeciwników „dobrej zmiany”. Więcej, ona jest niezbędna. Czekanie na Tuska, który wjedzie do Polski na białym koniu i uratuje kraj, nie doprowadzi do sukcesu. Opozycja powin-

[illegible]

na starannie przeanalizować działania Prawa i Sprawiedliwości z przełomu pierwszego i drugiego dziesięciolecia XXI wieku, bo są one przykładem bardzo przemyślanego i skutecznego działania. W tym okresie partia Kaczyńskiego nie czekała na wodza na białym koniu, ale tworzyła wielki ruch społeczny, który doprowadził ją w końcu do zwycięstwa w wyborach prezydenckich i parlamentarnych 2015 roku. To działanie wypada zaliczyć do najbardziej racjonalnych w naszej najnowszej historii.

■ DAŁ NAM PRZYKŁAD KACZYŃSKI

Przed wszystkim PiS stworzył sieć klubów w całej Polsce, jednoczących się pod hasłem „prawdy o Smoleńsku”. W ten sposób udało się zgromadzić nie tylko wyznawców „zamachu”, ale także ludzi mających wątpliwości, czy katastrofa z 10 kwietnia 2010 roku była tylko zwykłym wypadkiem lotniczym. I te wątpliwości roznieć. To był grunt, baza obejmująca nie tylko zwolenników prawicy. Owe kluby, które działały nie tylko w dużych miastach, ale również w małych miejscowościach, nie zostały pozostawione same sobie. PiS stworzył prawdziwą sieć, z centralnym systemem dystrybucji informacji, zaleceń i co najważniejsze – spotkań z politykami PiS, którzy jeździli po kraju i przedstawiali swój punkt widzenia.

Obserwowałem działalność takiego środowiska w jednej z małych, wielkopolskich miejscowości, gdzie często bywał na przykład Antoni Macierewicz. Zrazu słuchało go niewiele mieszkańców, stałych zwolenników prawicy. Ale z czasem ich liczba rosła. Nie wszyscy byli fanami Jarosława Kaczyńskiego, ale wszyscy doceniali przyjazdy osób „znanych z telewizji”. Czuli się ważni. Nie wszyscy też dali się przekonać, że „Polska jest w ruinie”, ale wiara wielu, że III RP to kraj sukcesu, została nadwątlona. To wystarczyło. Część z nich w wyborach nie głosowała, przyczyniając się do zwycięstwa Prawa i Sprawiedliwości.

Od tego PiS rozpoczął wojnę ideologiczną. Znaczenie ideologii było – i jest nadal! – doceniane wyłącznie po prawej stronie sceny politycznej. Liberałowie i lewica uważają ją za anachronizm. To błąd, który w latach dwudziestych pogrzebał w Polsce postkomunistów, a liberalne ugrupowania – najpierw Unia Wolności, później Platforma Obywatelska – tej lekcji nie odrobiły. A PiS działał w tej sferze bardzo konsekwentnie, umiejętnie sącząc ludziom argumenty „godnościowe”, forsując swoją wizję najnowszej historii, pełną spisków

masonerii, Żydów, wykupywania Polski. To tezy, które brzmią śmiesznie w warszawskich lokalach podczas spożywania zapijanych chianti ośmiorniczek. Ale są bardzo przekonujące na prowincji, zwłaszcza wygłaszane podczas spotkań w zimnych, ciemnych kościelnych salkach.

Innym przejawem tej działalności było stworzenie „własnych” mediów. Na tej fali powstała TV Republika, tygodnik „Do Rzeczy”, grupa medialna braci Karnowskich, rozwinęła się „Gazeta Polska”, niezliczone prawicowe portale i strony internetowe. PiS zbudowało własny, alternatywny świat i stopniowo wciągało do niego coraz więcej obywateli. To była ciężka, organiczna praca, a nie czekanie na zbawcę na białym koniu. Praca zwieńczona tryumfem. Nie tylko zwycięstwem w wyborach, ale także zbudowaniem dużej grupy odbiorców o dość trwałych poglądach. Liczenie, że Donald Tusk potrafi to zmienić, niczym Harry Potter jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki, jest naiwnością. Wprawdzie polityczne cele osiąga się też mitami, ale tylko pod warunkiem, że ich krzewienie jest podparte ciężką pracą.

■ POLITYKA JEST DZIŚ RZECZĄ ZBYT WAŻNĄ, ŻEBY ZOSTAWIĆ JĄ POLITYKOM

Tę pracę muszą oczywiście wykonać politycy opozycji. Przed wszystkim musi ją jednak wykonać społeczeństwo obywatelskie. Bo powrotu do Polski sprzed 2015 roku już nie ma, to zamknięty rozdział. Obywatele muszą sami zakasać rękawy i odpowiedzieć sobie na pytanie, jakiego chcą kraju i jakimi środkami można ten cel osiągnąć. Politycy sami tego nie zrobią, a jeśli zrobią, to źle, na swoją modłę. Historia nas tego uczyła i warto z tej nauki – wreszcie! – wyciągnąć wnioski.

Francuski premier, pisarz i lekarz Georges Clemenceau mówił, że wojna jest rzeczą zbyt poważną, by powierzyć ją wojskowemu. Polityka też jest dziś w Polsce rzeczą zbyt ważną, żeby zostawić ją politykom.

Piotr Gajdziński